Nr. 4. Warszawa, dnia 12 (24) Stycznia 1872 roku. ROK VIII.

Serya trzecia.

OPIEKUN DOMOWY.

Cena prenumeraty:

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
pół ocznie „ 1 „ 50
kwartalnie — „ 75
miesięcznie — „ 25

Wydawczyni, Kazimiera Mosch.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Chmielna (blizko Nowego-Światu), Nr. 3 (nowy).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni Ferdynanda Hösicka ul.Senatorska Nr.496; w *Poznaniu* u Leitgebera we *Lwowie* u Wild-Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza-księgarza.

Z DESZCZU NIE POD RYNNĘ.
(Ustęp z życia brukowego).

W Warszawie jest pewna klassa ludzi młodych, bardzo młodych, którzy należą do tak zwanych *szczęśliwców, lazzaronów* towarzyskich.

We dnie, ubrani podług pierwszej mody, ufryzowani, pachnący, — zasiadają wygodne fotele u *Loursa*... ziewając. Wieczorem, czynią obławy na samotne... *sarenki!*

Zwykle młodzi panicze, posiadają jaki taki dochodzik od schedy ojczystéj, używają szacunku... *garsonów i dorożkarzy* i znani są wszystkim... *magazynom strojów damskich.* Oni to gromadami studiują modele... siedzące przy maszynach do szycia; oni wyciągnięci w sznur, naturalny a honorowy stanowią szpaler przy kościołach.... i oni wreszcie, po ukończeniu pracowitego żywota, na starość szukają opieki i przytułku... *na Lesznie.*

Ale mimo to wesołe, ładne chłopcy. Niech zaświadczy.... *Stępkowski!!*

* * *

Dészcz lał strumieniem, rzadki przechodzień chronił się pod ganki domów, lub wyczekiwał w bramie.

Nieraz podobnie zebrana publiczność, wcale przyjemną zabawia się gawędką, zwłaszcza, gdy między oczekującémi znajduje się tak dowcipny chłopiec, jak Józio.

Józio, blondynek, z habrowémi oczami, malutką hiszpanką, misternie ułożonym wąsikiem... śmiał się jak szalony i coraz nowy nabój dowcipu kierował ku stronie, równie młodéj, skromnie ubranéj kobiety.

— Passyami lubię niespodzianki dészczowe, rzekł.

— A to nie złe, skoro na ulicy gapić się nie można, odpowiedział siwy jakiś mizantrop.

— Pan już straciłeś illuzyą życia, wydeklamował Józio.

— Zapewne: mnie biała pończocha nie zwiedzie, odparł stary.

— O, jak to nieraz serce bije, ujrzawszy cudną nóżkę.

— Starej baby... wtrącił znów jegomość.

Mężczyzni rozśmieli się; Józio zmarszczył brwi.

— Pani zapewne daleko mieszka? odezwał się do skromnéj kobiety.

— Nie panie, dość blisko, ale mam interes bardzo pilny.

— Pozwoli pani służyć sobie dészczochronem?

— Jeżeli pan łaskaw.

Józio nadspodziewanie znalazł to, czego szukał. Rozwinąwszy tedy dészczochron, wyszeptał:

— Pani, czy mogę wierzyć memu szczęściu?

Nieznajoma zebrała szybko suknię, z pod sukni ukazał się trzewiczek miniaturowych kształtów, ach! i pończoszka śnieżnéj białości.

Wyszli. Pani raczyła nawet przyjąć ramię grzecznego młodzieńca.

Kilka chwil szli milcząc; Józio w pierwszéj chwili stracił mowę i przytomność,—tak ładnéj, tak powabnéj pani, niezdarzyło mu się spotkać na ulicy, a przynajmniéj tak grzecznéj. Po kilkakroć oberwawszy po uszach i utraktowany niezbyt eleganckiém wyrażeniem, czasem nawet obdzielony dotykalném napomnieniem... unikał zbyt młodych piękności.

Teraz... Ale słuchajmy.

— Wolno spytać pani o imię? rzekł.

— Justyna.

— Justysia! Justynka! Justynia! Cudowne imię!

— Podobało się panu?

— Imię? Niezmiernie... Ale sama osoba, *niesłychanie.* Ach pani, to mówiąc zatrzymał się... nie znajduję wyrazów! pani, tu na klęczkach...

— Przebóg, wstrzymaj się pan, widzisz jaka straszna kałuża; zawołała poważnie dama.

— Pani nie wiész, ile wdzięków posiada to imię Justyna! Ile czarów mieści w sobie jéj twarz, te drobniutkie... nóżki.

— Wstydź się pan, unosi cię zapał, spojrz na ziemię, wprowadziłeś mię w błoto i na śnieżnych pończochach, ach! mam tak wielkie plamy... błota!

Józio oprzytomniał; było to z jego strony nie do przebaczenia; istotnie, nieznajoma obryzgana została błotem. Po tysiąckrotnych przeprosinach, doszli do Starego Miasta. Dama nagle odezwała się:

— Tu wejść muszę, do tego domu; pan zaczekasz, powrócę za chwilę.

Szybko wysunęła rękę i pobiegła na schody.

— Raz przecie udało mi się, pomyślał Józio. Justynka! Luba Justynka!

Deszcz nie ustawał, nieznajoméj jednak nie było widać.

— Czyliżby podstęp? Nie, tak piękna twarz zdradzać nie umié. Poczekam, choćbym miał spłynąć w rynsztoku.

— Przepraszam, przepraszam, zawołała nieznajoma, kochany... ale jakże imię pana?

— Karol.

— Kochany panie Karolu. Pójdziemy daléj, nieprawdaż?

— Do nieba lub piekła.

— O, daleko bliżéj... na Brzozową. Chodźmy, chodźmy, bo się spieszę.

Wesoła szczebiotka przycisnęła się do ramienia młodego chłopca.

— Jakże nam dobrze obojgu! odezwał się Józio. Gdyby tak przez całe życie!

— Czy pan lubisz dlatego życie, że daje przyjemności?

— Tak pani, bo tyle szczęścia, ile przyjemnych chwil w życiu.

— Więc nie chciałbyś cierpiéć?

— Cierpiéć? Dla pani poszedłbym po kolcach.... przez łzy i krwi strugi! Poświęciłbym się.

— A dla innych?

— Nie umiem dzielić uczuć, droga pani.

— Nie mówię o uczuciu dla kobiéty, ale o uczuciach człowieczych, które wywołuje niedola bliźnich....?

— Skorobym takiém poświęceniem miał zyskać względy pani — zdobyłbym się i na to.

— Poświęcenie dla jakiéjś nagrody, nie jest poświęceniem; jest samolubstwem. Otóż i mój dom....

— Jak to? Pani tu mieszkasz?

— Nie, ale tu znajdują się blizcy memu sercu.

— Niepodobna! wykrzyknął młodzian; pani tymczasem już znikła w ciemnéj bramie.

— Dziwna rzecz, co ona tu robi? Na Brzozowéj ulicy, dystyngowana dama... bo nie można nie spostrzedz, że należy do *naszéj klassy.*

— Panie Karolu, drogi panie! zawołał miły głos.

— Służę pani.

— Chodź pan! Chodź pan! To mówiąc nieznajoma szybko powiodła go na schody.

Na 2-iem piętrze, w nędznéj izbie, na łożu, spoczywał blady, schorzały mężczyzna. Na barłogu leżało dwoje małych dzieci. Okropny zaduch tamował oddech.

— Patrz pan! Oto blizcy memu sercu. Nieszczęśliwy, sparaliżowany rzemieślnik. Jesteś młody, zdrów i bogaty; tu nauczysz się cenić życie i jego przyjemności; dobry uczynek, litość, równie jest słodkiém uczuciem. W imieniu cierpiących błagam pana o wsparcie.

Józio sięgnął do woreczka i podał pani.... pięć rubli.

— O, dziękuję. Jesteś zacny, dobry młodzieniec.

Oddalili się błogosławieni przez całą rodzinę.

— Przykry jest widok nędzy, nieprawdaż? Nie dziwię się pańskiemu milczeniu, mówiła dama idąc obok Józia.

— Mylisz się pani. Nie widok nędzy, ale obawa o ciebie zasmuca mię; na ileż nieprzyjemności możesz być narażoną!

— Wchodzę do domu w imieniu Chrystusa, spełniam obowiązek serca.

— O pani, jesteś prawdziwym Aniołem!

Wyszli na Krakowskie Przedmieście.

— Gdzie teraz idziemy? zapytał Józio.

— Zgadnij pan.

— Jeżeli wolno byłoby mi domyślać się.... Pani! ja oszaleję.... idziemy do....

— Mego mieszkania.

Józio nie zapomniał ucałować ogniście drobnéj rączki.

— Justysia sama mieszka? odezwał się słodkim głosem....

— Przy matce....

Twarz panicza przeciągnęła się.

— Już śpi zapewne, szepnęła pani.

Józio ponowił całusy rączki.

— O, gdyby tak było....

— Dlaczego?

— Zostalibyśmy sami.... rzekł drżącym głosem panicz. Mógłbym patrzéć swobodnie w te urocze oczy...... całować różane usteczka....

Dama nie odezwała się.

— Pani milczysz? zaczął Józio.

— Bo jesteśmy w domu. Proszę, śmiało! schody wygodne, szerokie.

Otworzyła drzwi—pokoik był skromny, ale schludny.

Józio zawahał się.

— Panie Karolu, proszę, bardzo proszę! odezwała się dama.

Weszli do salonu oświeconego lampą. Przy stoliku siedziało kilka osób różnego wieku i różnéj płci. Józef zapomniał zdjąć paletotu; — wszedł oniemiały z przerażenia i wstydu. Cofnął się do drzwi...

— O, nie rób pan sobie subiekcyi, u mnie panuje swoboda. Mamuniu! przedstawiam ci pana Karola, zacnego mego towarzysza w dzisiejszéj wycieczce; tyle był grzecznym, że mię wziął pod własny dészczochron.

— Niech cię Bóg błogosławi, rzekła poważna staruszka; w naszych czasach rzadko o młodzież przyzwoitą, wszystko zepsute pieszczochy, modne łotrzyki. Nie gniéwaj się, moje dziecko, jestem stara, mogłabym być twoją matką; przyjm jak od matki te wyrazy.

Józio stał, jak na rozpalonych węglach.

— Proszę siadać, siadajże pan, panie Karolu,—rzekła po chwili już przebrana Justyna.

Jakże była piękną w prostéj perkalikowéj sukience, w skromnych warkoczach, z różą u piersi!

— Widziałaś Szymonową? rzekła matka.

— Biédna kobiéta, niewiele się jéj już należy — suchoty w ostatnim stopniu. Byliśmy i u Kalinowskiego. Pan Karol poczciwy, ofiarował mu pięć rubli.

— Zacny z pana człowiek, wyrzekła staruszka, a Justysia tak spojrzała lubo, że się Karol jakoś rozchmurzył, rozgadał, rozweselił, ucałował podaną rączkę i rozglądał się po towarzystwie. Mężczyźni uścisnęli go za ręce, panie nie szczędziły pochwał i słodkich słówek.

Wniesiono herbatę.

Śliczna Justynka nalała szklanki; Józiowi, jako honorowanemu gościowi, dostała się najpiérwsza i najlepiéj wypieczona bułeczka.

Rozmowa na chwilę urwana, rozpoczęła się nanowo. Józio powoli zapomniał przykrych wrażeń z doznanego zawodu, Justynka cały wieczór nim tylko była zajęta.

— Bywaj pan u nas, nie stracisz na tém. Żyjemy skromnie, jak widzisz; w pewne dni, czytamy głośno książki; innych dni, gramy w loteryjkę, szachy lub urządzamy sobie muzykalne posiedzenia; dziś, jako w Piątek.... *skubiemy szarpie dla Szpitali.*

Jakoż wnet zniknęły przybory herbaciane, wniesiono kosz starych szmat płóciennych, każdy z kolei dostał swoją część; Józio, jak wszyscy, równie *skubać musiał!* Komicznie też i pociesznie wyglądał. Mimo uśmiechu Justynki, mimo wesołéj pogawędki, szarpał ze złością szmatę, za co natychmiast otrzymał burę.

Nareszcie wybiła jedénasta. Powstała pani domu, goście zabierali się do wyjścia, Józio zerwał się najpiérwszy.

Pożegnany słodkim uśmiechem, wyszedł.... Czy wróci?

S. M.

Z POWODU ARTYKUŁU PANA NIEWIADOMSKIEGO:

„O TRUCICIELKACH W PAŃSTWIE FLORY."

Podał Dr. Józef Bagiéński.

Pisma peryodyczne popularne, zasilane być winny najczęściéj artykułami z dziedziny nauk przyrodzonych, tego niewyczerpanego źródła wiedzy. Prenumeratorami pism popularnych są po większéj części prowincyonalni czytelnicy, mający trudność w dostawaniu się bezpośredniém do źródeł nauki,—i klassa średnia miejska, nieposiadająca wyższego nad gimnazyalne, naukowego wykształcenia. Pisma przeto takie, wieleby dobrego uczyniły, nie przekraczając skali, zwyczajnéj w traktowaniu przedmiotów, dostępności,—i unikając *ściśle* naukowych, osobliwie zaś filozoficznych rozpraw.

Wiadomości z nauk przyrodzonych muszą być w takim razie podawane w przystępnéj formie, wyczerpujące w swoich opisach przedewszystkiém to wszystko, co we własnym kraju się znajduje. Rozprawy przesycone erudycyą, przepełnione szeregami systematycznych nazwań, bez dodania objaśniających rzecz komentarzy, mogą tylko zniechęcić nieposiadającego wyższego naukowego wykształcenia, czytelnika, a niczego nie nauczyć.

Zdaniem naszém jeszcze, rozprawy z nauk przyrodzonych, winny się pisać przez naturalistów nietylko teoretycznie, ale i praktycznie w przedmiocie swoim wykształconych. Odczytywanie pism najrozmaitszych z historyi naturalnéj, częstokroć jeszcze nie obznajmia z przedmiotem dostatecznie, owszem nieraz autor w błąd wprowadzonym być może, a przez to samo i czytelnicy szwankować muszą. Podobną niepraktycznością odznacza się ustęp z działu botaniki pana Niewiadomskiego: *Trucicielki w państwie Flory!* P. Niewiadomski nie trzymając się żadnego systematycznego porządku roślin, odrazu do Jaskrów, jako najpospolitszych trucicieli, przystąpił, zupełnie pominąwszy nietylko wiele roślin jawnopłciowych krajowych, trującémi własnościami się odznaczających, ale nie napomknąwszy nawet o grzybach, użycie których, jak wiadomo, przez pospólstwo, na przednówku, sprowadza wśród niego najfatalniejsze przypadki zatrucia.

Nie ubliżając przeto bynajmniéj teoretycznym wiadomościom, bardzo szerokim zkądinąd, p. Niewiadomskiego, — dla dopełnienia li-tylko przedmiotu, który tenże p. Niewiadomski niezupełnie jednakże konsekwentnie według nas, traktował, podajemy ten artykuł Redakcyi Opiekuna, jako rozszerzenie i sprostowanie tamtego.

Z dobrą wolą podjęliśmy tę pracę i Redakcya zapewne, jako taką, w interesie nauki i dobra swoich czytelników, zechce ją wydrukować.

Zastanowimy się naprzód nad roślinami trującémi skrytopłciowémi *(Cryptogamae)*, a następnie przejdziemy do jawnopłciowych *(Phanerogamae)*.

Grzyby, *(Mycetes)*.

Tylko charaktery botaniczne, dają łatwość rozróżnienia grzybów jadalnych, od jadowitych. Do grzybów podejrzanych należą, mające zbyt miękką konsystencyą, zapach nieprzyjemny, odurzający, lub też smak ostry. Najczęściéj, podejrzane są grzyby rosnące w miejscach cienistych i wilgotnych, również te, które napełnione są mlécznym, białym sokiem. Grzyby w ogóle tracą swoję jadowitą własność, gdy będą w occie wymoczone, lub przez czas dłuższy w wodzie octem zaprawionéj, tak, że same Muchomory, wymoczone tym sposobem, mogą być jadalne.

1. Bedłka Muchomór: *Agaricus muscarius.* Grzyb znany powszechnie, rośnie w gajach i lasach wilgotnawych, odznacza się ładnym czerwonym lub pomarańczowym kapeluszem, białémi łuszczkowatémi brodawkami upstrzonym. Od powszechnego użytku dla trucia much, otrzymał swoję popularną nazwę. W Kamczatce i w północnéj Rossyi, przez znachorów (czarodziejów) używa się, jako upajający środek, w ich praktykach. Użyty do wewnątrz, sprowadza otrucie śmiertelne. Działa na organizm przez trujący ostry pierwiastek *Amanityną* zwany. Dawniéj używał się w medycynie, ale tylko w stanie młodym, dopóki kapelusz z opony się nie uwol-

nił. Czynność swoję tylko przez jeden rok zachować może, dlatego corocznie musiał się zapas odnawiać.

2. Bedłka jadowita: *Agaricus necator.* Trzon od kapelusza bledszy, kapelusz gładki, foremny, płaski, kleisty, oliwkowo-brunatny, po brzegach włóknisty. Rośnie w lasach w lipcu i sierpniu. Użyta w większéj ilości, działa jak zabójcza trucizna.

3. Sromotnik smrodliwy: *Phallus impudicus.* Rośnie w lasach cienistych. W początkach, jest w oponie zamknięty, biały, bez zapachu, do kurzego jaja podobny. Gdy wzrośnie, trzon ma piędziowy, biały, jakby pogryziony, u spodu grubszy, oponą pokryty, kapelusz mało co od trzonu grubszy, oliwkowy, siatkowato żyłkowaty, z wierzchem uciętym, otwartym z którego, gdy dojrzeje, zcieka płyn szlamowaty, odrażliwéj woni, która już sama ostrzega o trujących własnościach.

4. Smardz jadowity: *Morchella polymorpha.* Najczęstsze zdarzają się śmiertelne wypadki otrucia się tym grzybem, przez zamianę, zamiast Smardza, jadalnego, od którego się różni niekształtną, rozmaicie pomarszczoną powierzchnią. Trzonu prawie zupełnie braknie. Barwą ciemniejsza, zadymiona, zapach słaby, nieprzyjemny. Oba grzyby rosną w sosnowych borach, w miesiącu maju i czerwcu.

5. Huba modrzewiowa: *Boletus laricinus,* w aptekach *Agaricus albus* nazywany. Rośnie na pniach modrzewiowych, w Rossyi północnéj i w Węgrzech. Do nas przychodzi drogą handlu w kawałkach różnego kształtu i wielkości; kawałki te pulchne, białawe, mają zapach stęchłéj mąki, smak gorzki. Wewnątrz użyty w małéj ilości, sprawia gwałtowną biegunkę; czasem wznieca womity. W większéj ilości, działa jak ostra trucizna. W medycynie rzadko bywa używanym.

6. Sporysz: *Secale cornutum.* U pospólstwa pod nazwą *Rożki żytnie* znany, stanowi gatunek grzyba, chorobliwie wyrastającego na kłosach roślin trawiastych, szczególniéj żyta, rzadko jęczmienia lub pszenicy. Kształt ma podłużnego, trójgraniastego ziarna, nieco skrzywionego, ze trzech stron brózdą podłużną naznaczonego, ciemno-fioletowéj barwy,—bez zapachu,—smaku słodkawego, ckliwego. Lato dżdżyste i grunt nizki, usposabia żyto do chorobliwego wyradzania *sporyszu* w znacznéj ilości. Mąka z takiego żyta, przez czas dłuższy używana, sprawia okropną chorobę, najprzód w Szwecyi przez Linneusza dostrzeżoną i przez niego *Raphania gangrœnosa* nazwaną. W pomienionéj chorobie rozwija się sucha zgorzel (gangrena) połączona z utratą nóg. Działanie trujące w *sporyszu* zależy od Alkaloidu *Ergotyny.* Sporysz w medycynie ma rozległe zastosowanie

Familja Menispermae.

1. *Cocculus suberosus* albo *Menispermum Cocculus.* Rośnie w Indyach wschodnich. U nas w handlu znajdują się te owoce, z wejrzenia do młodych pomarańczek mają podobieństwo, pod imieniem Rybitrutu: *Cocculi indici,* u przekupniów znane. Powszechnie używają się dla trucia ryb, jednak i dla człowieka są zabójczą trucizną. Niesumienni piwowarowie, używają przy warzeniu piwa, jako upajającego środka. Na organizm działa przez alkoloid, *Pierotoksinę,* z kwasem właściwym *Acidum menispermicum* połączoną.

Familija Pokrzywowych, *(Urticaceae.)*

Tu należy znaczna ilość ziół i drzew jadowitych w Indyach wschodnich, na Jawie, Borneo i Sumatrze rosnących. Drzewa pospolicie wypełnione są sokiem mlecznym, ostrym. Z tych drzew Jawańczycy przygotowują, w połączeniu z sokiem innych roślin z gatunku *Capsicum,* sławną ze swéj jadowitości truciznę *Upas Anthiar,* do zatruwania strzał. Ta trucizna nie zawiera w sobie strychniny, tak jak drugi gatunek również mocnéj trucizny, Upas, z drzewa *Strychnos* przygotowany, w którym Strychnina główną gra rolę.

1. Konopie indyjskie: *Cannabis indica.* Są to nasze zwyczajne konopie, które u nas uprawiane, zaledwie w liściach świeżych i łodydze dają uczuć zapach narkotyczny. Pochodzą one właściwie z Indyj wschodnich, gdzie wcale odmienne, bo trujące mają własności. Z konopi Indyjskich, wyrabia się w Indyach, ów sławny *Haszysz,* przez gotowanie wierzchołków konopianych z żeńskiéj rośliny (płoskonie), z miodem i masłem, do gęstości powideł doprowadzony.

Familja Szyszkowatych, *(Coniferae.)*

Wszystkie drzewa do téj familji należące, bogate są w garbnik i żywicę, przez co do rozmaitych fabryk bywają zastosowane. Wyjątek stanowi tylko Sabina: *Juniperus Sabina.* Krzew w Europie południowéj dziko rosnący, u nas w ogrodach utrzymywany, zawsze bywa zielony. Gałęzie w całéj długości pokryte drobnemi, przytulonemi do niéj listkami. Zapach Sabiny mocno aromatyczny, nieprzyjemny; smak gorzki, żywiczny. Zebrane z krzaku gałązki z liśćmi, użyte wewnątrz, działają zabójczym sposobem na płód brzemiennych matek.

Familja Ostromlecznych, *(Euphorbiacae).*

Wszystkie rośliny do niéj należące, w ogóle są ostre i jadowite. Jedne wzbudzają wymioty, jak korzenie Ipekakuany, kilka gatunków Euforbii,—inne, jak Rącznik, *Ricinus communis,* Biegulec, *Croton tiglium,* przyczyniają gwałtowną biegunkę. Są nakoniec i najjadowitsze, jak roślina północno-amerykańska: Hyppomane Mancinella, w któréj nawet cieniu przebywać niebezpiecznie. W naszym kraju, roślin do téj familii należących, nie mamy,—chyba w ogrodach uprawiane.

1. Biegulec pospolity: *Croton Tiglium.* Drzewo rośnie dziko na brzegu Malabarskim, Cejlonie i wyspach Filipińskich. Nasiona biegulca jajowate, wielkości małego grochu, służą do prasowania oleju przez krajowców. Olejek biegulcowy, stanowi ostrą, zabójczo działającą truciznę na żołądek, sprawiając gwałtowną biegunkę. Kilku kropel dostatecznie dla otrucia człowieka. *(d. c. n.)*

O TEMPERAMENTACH DZIECI.

Odczyty publiczne, miane w Krakowie,

PRZEZ

Lucyana Falkiewicza.

(Ciąg dalszy.)

c) Ospałość czyli ociężałość umysłu.

Wady téj woli nie można przyjmować za jedno z opisaném już przez nas *niedołęztwém,* jest ona bowiem tylko powolnością w łączeniu z sobą pojedynczych wrażeń, nieudolnością nareszcie panowania nad danémi materyałami do myślenia. Z téj ułomności umysłowéj powstaje druga, a mianowicie: wstręt do wykonywania wszelkich prac duchowych. We wstręcie tym nie widzimy bynajmniéj lenistwa, a tylko jakieś opuszczenie się niedołężne, przy zagubieniu się jednoczeséném w pierwszém lepszém nieokreśloném, jednostkowo oderwaném wyobrażeniu, z którego umysłowi trudno się wyrwać, co zarówno nauczycielowi, jak i podobném kalectwem dotkniętemu uczniowi, ciężki i nużący mozół przyczynia. Dzieciom tego rodzaju nie zbywa na wyobrażeniach, ale raczéj na możliwości szybkiego na wszystko poglądu i możliwości łączenia tychże wyobrażeń z sobą, choćby z przyczyny, że nad niémi żadną ze swych władz umysłowych zapanować nie umieją.

Dziewczynki tego usposobienia nie są zdolne do prowadzenia z przytomnością rozległejszego gospodarstwa; chłopcy, do czuwania nad spełnieniem jakiegobądź zawikłańszego, a powierzonego sobie interesu. Jak jednym tak i drugim brakuje téj oględności, téj roztropności w rozpoznawaniu i porządkowaniu następnie pojedynczych warunków, w skład każdéj czynności wchodzących. Jak jedne tak i drugie, dzieci podobne, stają się przezto nieużytecznémi, zaczém idzie już ich własne nieszczęście w stosunkach powszedniego życia.

Wada ta, utrudniająca ze wszech miar przyswajanie sobie nauki i rozwijanie w sobie zdań o rzeczach nawet potocznych, pozbawiająca człowieka samodzielności, w usposobieniu przyrodzoném poczęta, a przez zaniedbanie spotęgowana, pozwoli się tylko za pomocą dobrze obrachowanego, a cierpliwie prowadzonego ćwiczenia w myśleniu i mówieniu wyleczyć. Dzieci takie trzeba uczyć *patrzéć,* bo i patrzenie jest sztuką... wszakże niekażdy to dobrze widzi na co patrzy,—uczyć *słuchać...* a pochwycone dopiero témi zmysłami wrażenia w całość łączyć, by nakoniec tę całość szkicowo zdaniem objawić i uzmysłowić bądź w mowie, bądź w piśmie.

Wiele, bardzo wiele troskliwości należy tu poświęcać! Z dziećmi takiemi, powinniśmy np. sami czytać, rzecz każdą z osobna im opowiadać, gruntownie objaśniać, jedném słowem, podwójnie za siebie i za nie pracować. Takie tylko postępowanie z naszéj strony, zapewnić może pożądany skutek.

Zaniedbanie go—rozwija kalectwo szczegółowe dziecka bez końca.

d) Drobnostkowość.

W nowéj téj wadzie woli występuje wyobraźnia, jako czynnik przeważający, obok niéj zaś chorobliwość rozumu, który według swéj własnéj, można powiedzieć, odrębnéj rutyny, dzieli wyobrażenia na drobne cząstki, a pędzony pewnym rodzajem roztargnienia, niespokojności i gorączki fantastycznéj, rozdrobione te cząstki swo-

im sposobem pojedynczo ożywia, tak, że te, jako szarpiące go duchy, wkoło niego bezładnie krążąc, nie dozwalają zdrowemu poglądowi przystępu do głowy.

Do téj wady policzyć można jeszcze podrzędne jéj słabostki, mianowicie: szperanie i zaciekanie się w małostkach, pedanteryą, wykrętność; tłem zaś tego wszystkiego bywa *małoduszność*.

Drobnostkowy charakter pozbawia człowieka wolnéj woli, czyni go niedowierzającym i obłudnym. Rozum drobnostkowego człowieka nie jest zdolnym wyśledzić prawdy,—rozstrzelony na mnóstwo drobnych szczegółów, nie dość baczy na rzecz główną i, zamiast tworzyć sobie o niéj coraz jaśniejsze ogólne pojęcie, oddala się od niego. Widzi muchę w powietrzu, a wołu nie dostrzeże na ziemi. Człowiek podobny należy do rzędu tych, co to komary przez sito cedzą, a wielbłądy połykają. Chcąc wadę tę w dziecku usunąć, potrzeba postępować zręcznie i z nieprzerwaną uwagą. Jeden tu tylko środek może być skutecznym—mianowicie ten: aby dziecku zawsze tylko stawiać przed oczy to, co z charakteru swego jest wielkiém, wzniosłém, prostém i skończoném. Przedmiot o którym chcemy dać mu pojęcie, należy mu skreślać kilku ważnemi charakterystycznemi rysami, podobnie jak malarz pomysł swéj kompozycyi rzuca na płótno kilkoma rzutami ołówka. Karton ten zawiera w sobie już całą myśl przyszłego obrazu, choć szczegóły nie są w nim narysowane. Należy więc starannie zapobiegać aby uczeń nie gubił się w rozstrzelonych myślach—w rozmowach z nim niedozwalać wprowadzania szczegółów zbyt drobnych, podrzędnego znaczenia, lub nawet zupełnie bez związku z kardynalnym przedmiotem. Jeśli téj ostrożności nie zachowamy, uczeń wprowadzi nas w taki labirynt nowych wyobrażeń, definicyi i objaśnień, że z nich niepodobna będzie wyjść i trafić napowrót do punktu wyjścia. Jeżeli więc np. z dzieckiem mającém wadę drobnostkowości, mówić będziemy o jakim fakcie historycznym, dajmy na to o zwycięztwach, wspaniałomyślności i śmierci Aleksandra Wielkiego, to w takim razie nie należy odpowiadać na nawiasowe zapytanie roztargnionego słuchacza: jak długo, przypuśćmy, Aleksander mógł siedzieć w wodzie że się przeziębił i w skutek tego umarł, lub, jaki miał pogrzeb po śmierci? Baczny na wskazaną powyżéj regułę postępowania nauczyciel, pominie podobne zapytania i daléj rzecz prowadzić będzie, idąc za dalszym wątkiem historycznym. Niemniéj winien też przestrzegać, aby wychowaniec w pracach jakiegokolwiekbądź rodzaju, w mowie i piśmie był zwięzłym i dobitnym.

W obcowaniu zaś mieć zawsze na uwadze, ażeby towarzystwo podobnych dzieci składało się ze zdrowych i rezolutnych usposobień, o ile możności o zarysach większego rozmiaru w charakterze: a ponieważ to niezawsze jest możliwém, w takim razie możeby nieszkodziło trzymać się téj zasady, że dla dzieci w poprawie będących, na jakiś czas lepsze jest żadne towarzystwo, jak złe, albo wątpliwe.

e) Cnotą tego zakresu jest uwaga.

Uwaga jest cnotą, objawiającą się w dzieciach różnie; raz jako oględność, to znów jako bystrość pojęcia i rozwaga, to wreszcie jako przytomność umysłu. Może ona w wychowańcu być przyswojoną, nabytą, jeżeli się oględnie poskromi zbytnią skwapliwość, do któréj dzieci tego usposobienia wielką okazują skłonność. Dopiąć tego można nie surowością, ani naganą, ale staranném unikaniem nudnéj rozwlekłości zarówno w wyraźnéj nauce, jak i w potoczném opowiadaniu.

Kto dzieci umie zaciekawić, czy to samą treścią przedmiotu, czy formą jego, albo też zręczném nastrojeniem właściwych warunków, ciekawość słuchacza ku jednemu przedmiotowi zwracających, ten zawsze w nagrodę swych usiłowań zyskuje uwagę dzieci i zaostrza takową. Najmniéj udaje się podobne założenie tym, co to powierzchownie przedmiot zbywają, albo będąc leniwymi w wynajdywaniu czegoś nowego dla swych słuchaczy, ciągle odgrzewają stare rzeczy, i koło jednego i tego samego przedmiotu w kółko się kręcą.

Wygodny wprawdzie, lecz dla ucznia najzgubniejszy sposób traktowania nauki, jest urzędowe odczytanie uczniom lekcyi z książki i zakreślenie takowéj paznokciem, do wyuczenia się téj porcyi na pamięć. Tu uwaga, chociażby się najmocniéj siliła na pochwycenie czegoś ciekawego, musi się zrzec téj korzyści, i zniewoloną jest spocząć na czémś inném, do zakresu nauki bynajmniéj nienależącém.

I takim nie najlepiéj powodzi się nauczycielom, którzy przy wykładzie, zawsze jednych i tych samych używają frazesów, w którychani nauczyciel, ani uczeń, prawdy nie czują. A najgorzéj wychodzą w podobnych razach moraliści, ze swemi wiecznémi kazaniami i sporami. Niezaprzeczoną jest bowiem prawdą, że najniedbalsze i najnieuważniejsze dzieci tam się znajdują, gdzie się najwięcéj moralizuje.

I nic dziwnego; bo jeżeli nauczyciel, czy wychowawca po raz setny usta otwiera i oklepaną już sentencyę jako nieznaną nowość wygłasza, dzieci, znając się na podobnych niespodziankach, już naprzód wiedzą, co z ust ich mentora wyjdzie, i jeszcze przed objawieniem znanego im morału, zaczynają na piękne ziewać, albo o czém inném myslić. (*D. c. n.*)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA POLSKIEGO.

Skrupuły, powieść *Kazimierza Chłędowskiego*. — **Niecnota**, powieść przez *Zbigniewa*. — **Irena, czyli chrześcijanie za czasów Domicyana**, powieść przez *M. G.* — **Na cmentarzu— na wulkanie**, powieść *Kraszewskiego*.

(*Ciąg dalszy.*)

Autor jednak nie pochwycił tych dwóch typowych sytuacyi, ale pośrednią, połowiczną. Pod tym względem widać w nim brak owéj spotęgowanéj bystrości, siły objęcia i precyzji przedstawienia przedmiotu z jego najwybitniejszéj i najwięcéj interesującéj strony, brak zresztą tak pospolity i częsty w literaturze naszéj. Jego bohaterka, w zasadzie uznaje także niedorzeczność przesądów, jednak wpada w inną słabość niewieściego umysłu: przesadzoną zasadę prawdomówności, wynikającą z owéj ogólnéj przesady, jaka według słusznéj uwagi Gervinusa, cechuje katechizmowe stosowanie ogólnych zasad moralności. Jakeśmy już powiedzieli, jestto najzupełniéj prawdopodobne, ale potrzeba tutaj wielkiéj subtelności i dokładności analizy powieściowéj, dla zyskania interesu artystycznego lub moralnego. Trzeba było na to takiéj bystrości spostrzegawczéj i delikatności Feuilleta, który umie podobnego rodzaju obrane przedmioty, wykwintnością i wytrawnością podnosić do pierwszorzędnéj wartości artystycznéj (*Le cas de conscience*). Tymczasem autor ograniczył się na samém tylko powierzchownem uchwyceniu faktu, nie troszcząc się ani o jego przyczynowość, ani o treść moralno-społeczną, jaką w sobie zawiera. A jednak widać chociażby z potrąconego szeregu myśli naszych, na jakie to przeróżne pola można było wprowadzić opowiadanie powieściowe, stosownie do punktu widzenia rzeczy. W świecie ducha, panuje jak największe powinowactwo i łączność przeróżnych objawów ze sobą. Pochwyciwszy jedno żywotne tętno rozwoju tego świata, starając się dojść ulotnego związku jednego objawu, z summą innych objawów powinowatych, spotykamy na drodze coraz nowe, coraz ciekawsze zagadnienia życiowe, które wreszcie prowadzą siłą logicznej konsekwencyi do najwyższych zagadnień rzeczywistości. Dziełem jest myśliciela lub artysty, postawić spostrzegawczemu badaniu lub twórczości literackiéj stosowny zakres i szranki wedle obranego przedmiotu, ale obowiązkiem także wypełnić dokładnie i głęboko zagadnienia, które się mieszczą w tym właśnie zakresie, które się bezpośrednio z nim łączą. Trzeba w tym punkcie właśnie spotęgować całą energię myśli i wyobrażeń, trzeba brać to, co służy do uwydatnienia zasadniczéj charakterystycznéj cechy danego przedmiotu, a inne szczegóły pomijać lub odrzucać. Każda twórczość prawdziwa, jak to zauważył Henryk Taine, znakomity myśliciel pozytywny, polega właśnie na takiém ześrodkowaniu działalności artystycznéj, na uchwyceniu zasadniczéj cechy przedmiotu.

Otóż cała budowa powieści pana Ch. jest właśnie żywém zaprzeczeniem téj głównéj zasady. Autor przedewszystkiém zajmuje się tém, co bezpośrednio do głównego faktu nie należy. Dla kontrastu skrupułów Julji, maluje prawie w równéj rozciągłości, brudny stosunek miłosny Tadeusza z młodą powabną mężatką Elizą Frankini, która bez żadnych wzdrygań i walki moralnéj, otwiera swe miłosne skarby dla młodego, żywego, chciwego wrażeń studenta, który prędko i łatwo wikła się w sieciach jéj kokieterji. Ten stosunek mógłby zresztą mieć częściowe miejsce w powieści, jako kontrast dosyć mówiący, ale autor rozwinął go w objętości równéj motywowi głównemu, odfotografował dokładnie we wszystkich fazach i momentach, przez co zajął całą połowę powieści. Epizod ten służy istotnie do wyjaśnienia charakteru Tadeusza, ale stanowi jeden rys tylko w jego portrecie i to nie najgłówniejszy. Powstaje ztąd wielka nieproporcjonalność artystyczna, tak jakby np. ktoś malując pałac łazienkowski, przedewszystkiém zajął się pracowitém wykończeniem strzegącego szyldwachu i przez to skupił na nim główną uwagę. Ale nietylko ta cała połowa powieści nie wiąże się bezpośrednio z głównym jéj przedmiotem. Autor prowadząc tok opowiadania, przedstawia oczom naszym cały szereg odrębnych, wystrzyżonych obrazków, drobnych i bladych fotografji, zdjętych z drobnych i bladych scen życiowych, fotografji, których jedyną łącznością to tylko, że są za jedną wystawione ramką. I tak np.

przeprowadzając ostatnie zawikłanie w czasie pobytu kochanków u wód mineralnych, opisuje wieczorki, przejażdżki, wycieczki w góry, rozmaite wesołe wydarzenia i przypadeczki, które najzupełniéj nie wiążą się z dziejami serca bohaterki, ani też nie służą za tło właściwe i konieczne, na któremby się rozwijał jéj stosunek z Tadeuszem.

Takich szczegółów i ustępów znajdziemy tutaj mnóstwo prawdziwe, tak, że ostatecznie zsumowawszy z jednéj strony to wszystko, co się chociaż jako tako łączy z treścią przewodnią, a z drugiéj to wszystko co jéj albo zupełnie nie tyczy, albo też ma związek czysto-powierzchowny, znajdziemy: *jedną piątą pierwszego*, a *cztery piąte drugiego*,—mówimy to bez najmniejszéj przesady. Wprawdzie cała treść ta, ułożona wsposób podobny, posiada najzupełniejsze warunki prawdopodobieństwa, wygląda nawet na obraz czysto zdjęty z natury,—ale poecie niewolno być tylko takim ślepym fotografem rzeczywistości, jeżeli chce utworzyć prawdziwe dzieło sztuki. Jakżeby naprzykład wyglądało opowiadanie skrupulatne zdejmowania fryzury kobiecéj, rozplatania włosów, wyszczególnianie wyjęcia każdéj szpilki z głowy lub ubrania, notowanie dokładnie najobojętniejszych szczegółów rozmowy z garderobianą,—po opisie czarownéj sceny miłosnéj na balu, gdzie rozpromieniona szczęściem dziewica, wśród wiru polotnego tańca, fali światła, ochoczego brzmienia muzyki, wiodła z ukochanym upajającą miłością rozmowę, przesyłała mu okiem niemą mowę wzruszonego serca?

Dla czegóż tedy autor mniéj więcéj podobną sobie obrał metodę? Rozumie się, że powieść w taki sposób ułożona musi być na każdym kroku żywą negacją artyzmu. A jednak z drugiéj strony, trudno zupełnie jéj autorowi odmawiać talentu. Jakeśmy to już zauważyli, ma on pewien dar spostrzegawczy, umie chwytać ludzkie charaktery i czyny z faktów życiowych. Każda osobistość ma w powieści zarys odrębny ale nie wychodzący z granic pobieżnego szkicu, który obok zewnętrznych trafnych konturów, nie posiada owéj całéj gry światła i kolorów, nie ma przejść, półcieniów, pół świateł, refleksów, które dopiero składają się na portret artystycznie skończony. Cała też twórczość pisarza kończy się na tém szkicowaniu tylko.

Rozumie się, że nie może tutaj nawet być mowy o jakiém takiém harmonijném uporządkowaniu w układzie, o wyborze najwłaściwszego punktu, z któregoby się rzucało światło na całość, o spotęgowaniu faktów własną twórczością do głębszego i silniejszego artystycznego efektu, a nareszcie o napiętnowaniu całości znamieniem jakiéj podnioślejszéj idei. Na podstawie tego, cośmy tu powiedzieli, zrozumiemy może w części owo olbrzymie powodzenie społecznego „*Albumu fotograficznego*" tegoż autora, które jest właściwie zbiorem literackich portretów, zdejmowanych ze znakomitości galicyjskich. Umiejąc pochwycać fizgjonomję ludzi wpływowych, grających w społeczeństwie pewną rolę, autor może już samym materjałem zająć niepomiernie. Nie jestto znowu dla każdego tak łatwém, ale powtarzamy jeszcze, jestto tylko *fotografja*, a jeszcze zapewne wyraźniejsza i dobitniejsza jak w „Skrupułach" bo inaczéj byłaby mniéj uderzającą.

Podobnym nieco rodzajem budowy artystycznéj, odznacza się także „*Niecnota*", najnowsza powieść Zbigniewa, która jednak nie grzeszy tak jak „*Skrupuły*", luźną *zestawnością* pojedynczych części, ale tylko zbyteczną i zbyt rozciągłą *epizodycznością*, nieproporcjonalném rozwinięciem szczególniéj drugorzędnych ustępów. Każda jednak jéj cząstka łączy się z całością, chociażby tylko ledwie dostrzegalną nitką zewnętrznego powinowactwa. Widocznie autorka (p. Marja Sadowska, kryjąca się pod pseudonymem Zbigniewa), pierwiastkowo osnowę powieści w daleko szczuplejszych ramach poczęła w głębi swéj twórczości, ale odziewając swe pomysły w kształty konkretne, nieumiała dostatecznie zwrócić uwagi na harmonijną proporcję i rozmiar stosowny całości. Kreśląc jeden epizod, obrabiała go *con amore*, rozprowadzała szeroko, nieraz niemal z arabeskowém bogactwem, rysunek szczegółów przeważnie charakterowych, tak, że ustępy pojedyncze zatrzymując na sobie uwagę czytelnika bogactwem swéj barwistéj plastyki, często nadto jaskrawo z ogólnego tła odstępują.

Nie znaczy to wcale, aby pani S. starała się za jakąbądź cenę, sztucznie powiększyć objętość swéj pracy w widokach czysto spekulacyjnych, jak to robią niektórzy nasi wyczerpani i znużeni pisarze, snujący bezbarwne, przeciągłe opowiadania, na wątłych i błahych tematach. Nie można posądzać pełnéj żywotnych, prawie młodzieńczych sił autorki, o taką wysiłkową robotę rzemieślniczéj rutyny, owszem przypisać to należy bogactwu wyobraźni, niezwykłéj jéj żywości i precyzji, która pragnie rysujące się w jéj wnętrzu postacie oddać z całym możliwym blaskiem, dokładnością i energją wykonawczą. Jestto trochę rozrzutne i nieuważne szafowanie na każdym kroku światłem fantazji i słowa, które autorka zamiast kierować wyłącznie na najgłówniejsze i najwydatniejsze figury powieściowéj gruppy, rozstrzela nieraz w zarówno jaskrawych i świetnych promieniach, na postacie i akcje drugorzędne, wiedząc dobrze, że niezbraknie jéj na blasku i sile. Wprowadzając nieraz wcale podrzędną osobistość, która bardzo drobny ma udział w głównéj akcji, zaraz skrupulatnie kreśli jéj fizjognomję moralną, stara się stworzyć nietylko charakter albo postać typową odrębną, ale zarazem odrysować ją dokładnie i szczegółowo. Często bardzo zakulisową sprężynę głównéj akcji, wyświetla z całą drobiazgowością tam, gdzieby inni pisarze na lekkiéj wzmiance przestali. Tak np. przy końcu powieści, gdy potrzeba dla stosownego rozwikłania akcji uwiadomić męża,—główną osobę powieści, o wiarołomstwie lekkomyślnéj żony, autorka zamiast wprost powiedzieć krótko, że to się stało w znacznéj części za pomocą plotki służących,—skrupulatnie kréśli cały przebieg téj plotki, przy czém nader barwiście wychodzą sylwetki dwóch interlokutorek garderobianych, które zaklinając się wzajemnie o dotrzymanie sekretu z gadatliwością niepohamowaną, komunikują sobie *tajemnice* swych państwa, ażeby za kilka minut wypaplać je znowu bez ceremonji.



Obrzęd ofiarny u Persów (Patrz str. 31).

Inną razą znowu, potrzebując wprowadzić osobistość, na któréj ręce ojciec bohaterki złożył testament z summą jéj posagową, znowu nader skwapliwie i sumiennie zajmuje się jéj charakterystyką. Takich figur podrzędnych, a jednak traktowanych dosadnie, znajdziemy w powieści kilka jeszcze, wszystkie one oryginalnie pomyślane, i wzięte osobno, skreślone po większéj części bardzo szczęśliwie, chociaż rozumie się, pomimo usilności autorki nie powyrastały na prawdziwe typy lub charaktery wielostronnie przedstawione. Występując albowiem w drobnych i podrzędnych sytuacjach, nie mogą okazać swego moralnego usposobienia *czynami*, które są stokroć wymowniejszemi i skuteczniejszemi środkami charakterystyki, aniżeli najdosadniejsze i najsubtelniejsze autorskie omówienia. Pomimo jednak tego wszystkiego, powieść Zbigniewa czyta się z przyjemnością prawdziwą, jednym tchem prawie, sprawia nieraz wrażenie tak silne, jakie tylko niepospolity talent wywołać umie. Rzeczywiście „*Zbigniew*", jeżeli dotąd nie wydał dzieł istotnie znakomitych, jest podług nas na drodze do tego ponętnego celu. Jest to talent niezaprzeczony, który przeszedłszy pierwszą fazę rozwoju, obecnie śmiałym krokiem podąża do artystycznéj dojrzałości. Jeżeli w dawniejszych utworach, dał się nieraz unosić zbytnio polotom fantazji, (Oksana) jeżeli stwarzał sytuacje wymarzone, zbyt

idealne, jeżeli nadto szafował kipiącemi porywami namiętności, tutaj już coraz bardziéj schodzi na stanowisko objektywnego wszechstronnego obserwatora czynów, myśli i uczuć człowieka, malarza istotnych typów, poczerpniętych z obserwacji sumiennéj i bystréj nad przeróżnemi warstwami i pokładami społeczeństwa naszego.

(*D. c. n.*)

Z KRONIKI PRZEMYSŁOWÉJ.

W dniu 14 b., m. pod prezydencyą p. Ludwika Spiessa, odbyło się zebranie ogólne Uczestników kassy Zaliczkowéj przemysłowców Warszawskich. Instytucya ta, założona przed kilku laty, z małym bardzo kapitałem, chwiejąca się początkowo w swoich interesach, utrzymywana tylko zabiegłością ludzi dbających o podniesienie rzemiosł i przemysłu krajowego, dziś—może służyć za przykład wszystkim podobnym stowarzyszeniom;—dowiodła co to znaczy silna wola, zaufanie wzajemne i połączenie się wielu drobnych kapitałów.

Sądzimy, że główne zasady tak pożytecznéj instytucyi nie będą dla czytelników obojętnemi, tembardziéj, że niejeden zechce może korzystać z łatwego i na przystępnych warunkach udzielanego kredytu. Uczestnikiem może być każdy mieszkaniec Warszawy, wnoszący rs. 50 wkładu, a nawet dla dania możności przystąpienia do stowarzyszenia i biédnym ludziom, kwotę tę pozwolono składać w ratach miesięcznych, choćby nawet rubla jednego nie przenoszących, za poprzedniém zapłaceniem wpisowego i przyrzeczeniem, że te raty regularnie wnoszonemi będą. Uczestniczenie daje prawo otrzymania pożyczki z warunkiem przedstawienia poręczenia osoby odpowiedzialnéj. Prócz tego uczestnicy mogą składać swoje fundusze do kassy stowarzyszenia, od których pobierają procent w rozmiarrze 6% w stosunku rocznym, jeśli zaś fundusz taki pozostaje w kassie przez rok, to prócz zwykłego procentu, właściciel takowego ma prawo pobrania dywidendy, która w tym roku na 12% oznaczoną została. Instytucya ta zyskały wysoki kredyt w domu handlowym L. Kronenberga i w Banku Handlowym Warszawskim, a prócz tego i Bank polski wkrótce podobno wejdzie z nią w stosunek otwartego kredytu; kassa Zaliczkowa szczególnie rozwinęła się w roku zeszłym. Obroty roczne można powiedzieć były ogromne, dywidenda znaczna, liczba uczestkników z każdym nieledwie dniem wzrasta, jedném słowem możemy się cieszyć rozwojem téj pożytecznéj instytucyi i sądzimy, że większe miasta prowincyonalne, zachęcone dobrym przykładem podobne u siebie założą.

W końcu pozwolimy sobie przytoczyć kilka cyfr wyjętych z ostatniego sprawozdania.

W roku 1871 było uczestników 1046, podczas gdy w roku 1870 brało udział tylko 408, t. j. w ciągu zeszłego roku przybyło 608. Wkłady w ciągu roku 1871 wynosiły 31,571 rs.—wpływy przyjęte na 6% 62,751 rs. 50.—pożyczki udzielone 101,124 rs. 21 kopiejek,—z procentów wpłynęło 8,234 rs. 17½ kop.—opłaty i wydatki wynosiły 3,998 rs. 61 kop.—czysty więc zysk wypadł na 4,235 rs. kopiejek 46½. Na kapitał rezerwowy przez zaliczanie 10% czystego zysku wliczono 1669 rs. 50½ kop. W ciągu 1871 roku udzielono pożyczek 1872 na summę 309,514 rs. 88 kop. Najniższa pożyczka była rs. 1 najwyższa 1,800 rs.

Te cyfry same przemawiają, one same dowodzą pożyteczności kassy Zaliczkowéj i wykazują zasługi tych, którzy w celu jéj założenia pierwiastkowego trudy podejmowali.

DRUGA MIŁOŚĆ.

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(*Ciąg dalszy.*)

Wiadomość ta przejęła Sybillę żywą radością. On wolny! Można o nim myśleć bez grzechu, bez krzywdy niczyjéj, chyba może swojéj własnéj. Z serca też wyrwał jéj się okrzyk:

— Dzięki Bogu!

Wziął jéj rękę i poniósł do ust.

— Dla czegóżto tak długo byliśmy źle ze sobą? — zapytał z uśmiechem.

Sybilla drżała. Dzika, niepohamowana radość obudziła się w jéj sercu. Wiedziała dobrze że Dermot jéj nie kocha; ale nadzieja mówiła jéj, że kiedyś to nastąpić może. Teraz zdawało się, że była mu drogą. Dlaczegóżby z czasem uczucie to wzrosnąć nie mogło!

— Dlaczegoż tak źle byliśmy ze sobą? powtórzył.

Wysunęła rękę z rąk jego i patrząc w ogień rzekła ze śmiechem.

— Wistocie nie wiem, panie Dermot, zapomnij i przebacz.

— Przyznaj pani, że to była robota panny Cains.

Sybilla zarumieniła się

— Moja własna wina, nikogo innego—odpowiedziała poważnie.

Oczy jéj zwrócone były na ogień, nie widziała więc, że Dermot badawczy wzrok w nią wlepił. Sybilla zmieniła się bardzo, nie tyle fizycznie ile w wyrazie twarzy i sposobie postępowania. Dermot chciał w jéj posmutniałych licach wyczytać tajemnicę jéj niepokoju.

— Sybillo! rzekł nagle — czy jeszcze żałujesz hrabiego de Renneville?

— Żałować zdrajcy, obłudnika! zawołała z oburzeniem.

— Nie, nie możesz go żałować, wiedziałem o tém. Patrz, oto wolność moja.

Wyjął z kieszeni pakiet listów. Trzymał je przez chwilę w ręku, twarz jego stała się surowa i ponura. Wreszcie zaczął listy częściami rzucać w ogień. Niech to szaleństwo idzie w zapomnienie— rzekł z westchnieniem.

Sybilla zbudziła się jak ze snu. Byłoż to szaleństwo? zapytała.

— Tak, szaleństwo! Spodziewam się że odtąd Edward Dermot będzie roztropniejszym, i nie wpadnie w drugą zasadzkę.

— Wolałabym umrzéć, niżby miał domyślać się cóśkolwiek!—pomyślała Sybilla spoglądając na niego.

— Co znaczy to spojrzenie? — zapytał żwawo — powiédz mi pani.

Sybilla rumieniła się i bladła, ale wejście Blanki uwolniło ją od kłopotliwéj odpowiedzi. Dermot podniósł głowę, spojrzał, Sybilla spostrzegła w jego i Blanki oczach jakiś chłód, nieprzyjaźń prawie.

— Co pan robisz z moją pacjentką? zapytała Blanka, uśmiechając się i przystępując do kominka.

— Pacjentka pani wygląda już bardzo rumiano, odpowiedział.

— Chciałam wam zrobić niespodziankę i zeszłam—rzekła Sybilla w odpowiedzi na pytający wzrok Blanki.

Wszyscy w tym dniu uderzeni byli zmianą, jaka zaszła w Sybilli. Nie była to już rumieniejąca za każdem wrażeniem narzeczona Rennevilla, ani blada, smutna, zdradzona kochanka, ale inna nowa Sybilla, spokojna, zamyślona, żyjąca w świecie nieznanym dla Dermota, i wyglądająca zadowolona tym światem.

Dzień był dżdżysty, Dermot mało miał zajęcia i wieczór przepędzał w salonie. Możeby probował badać nowe usposobienie Sybilli, ale miss Cains upornie przy niéj siedziała. Gdy Kennedy zaproponował zwykłą partyę szachów, Blanka wstała ze swego miejsca na kozetce przy Sybilli, którego widocznie nie miała chęci opuszczać.

— Pójdź przyglądać się grze—rzekła pieszczotliwie.

— Nie, nie lubię szachów—odpowiedziała Sybilla.

— Więc niech pan Dermot dotrzymuje ci towarzystwa—rzekła miss Cains z przyciskiem.

— Właśnie mam taki zamiar, rzekł Dermot siadając na jéj miejscu.

— Skądże znowu ta wojna między niémi,—pomyślała Sybilla, chwytając znowu w przelocie ich nieprzyjazne spojrzenie.

— Jakaż to zmiana w pani? rzekł Dermot cichym głosem, po chwili milczenia. Wydajesz się o wiele starszą i poważniejszą.

Sybilla spojrzała na niego i uśmiéchnęła się w poczuciu smutnego tryumfu. Cóżby też pomyślał gdyby wiedział?

— Powiédz mi pani!—prosił. — Powiédz mi ową dziwną historyę, która cię tak przemieniła.

W téj chwili otworzyły się drzwi i pokazał się Narcyz z listem do Kennedego. Dermot spojrzał zdziwiony.

— O tym czasie poczta nie przychodzi!.

— Tak, odpowiedział Narcyz,—ale pogoda szkaradna i poczta się opóźniła—tak przynajmniéj mówił mi posłaniec.

— Zdaje mi się że on ostryga—rzekł poważnie Dermot.

— A tak panie—z równą powagą odpowiedział Narcyz, któremu świat cały wydawał się tylko wielką ławicą ostryg.

Tymczasem Kennedy list czytał. Blanka na którą przypadała koléj posunięcia, zdawała się w głębokich myślach zatopiona.

— Edwardzie! zawołał ze wzruszeniem Kennedy.

Wstał Dermot, przysunął się i przychyliwszy się przez ramię Kennedego zaczął czytać list w jego ręku. Sybilla patrzyła na obu

z bijącém sercem. Czuła że chodzi o cóś ważnego, widziała jak wymieniali zakłopotane spojrzenia

— Gdzie jest *Times*? zapytał nagle Dermot.

Sybilla wstała i podała mu dziennik żądany. Wziął go bez podziękowania i szybko oczami przebiegł, szukając wiadomości o odpływających okrętach.

— *Mountain Fairy* jutro odpływa—powiedział.—Nocą, mogę przeprawić się przez Kanał.

Kennedy wlepił w niego oczy.

— Niéma statku pocztowego, powiedział.

— Są łódki rybackie—odrzekł wesoło Dermot.

— Niepogoda.

— Była niepogoda, ale minęła. — Na lekką falę nié mam co zważać.

Kennedy spoglądał zamyślony, ale *imponował* więcéj. Oczy Dermota błyskały gorączkowo, Sybilla stała przy nim, ale nie widział jéj wcale. Zawróciwszy kilka razy po pokoju wyszedł; wkrótce za nim wysunął się i Kennedy. Dwie panny zostały same w salonie.

— Sybillo, rzekła Blanka, zbliżając się do przyjaciółki. Dobrześ się trzymała, nie wydajże się w ostatniéj chwili.

— On odjeżdża—odpowiedziała Sybilla biała jak kréda—on odjeżdża Blanko.

— Nic to nie znaczy—powróci; tylko się nie wydawaj.

— On jedzie do Kanady, wiem z pewnoscią—bo *Mountain Fairy* tam odpływa. Czytałam w *Timesie.* Widać bracia Johnson zbankrutowali, lub c ś podobnego.

Wyglądała jak posąg rozpaczy. Miała życzenie, nadzieję—bo miłość ma ją zawsze — a ta nadzieja i pragnienie rozbiły się stanowczo. Bo czy powróci? i kiedy? i czy będzie jeszcze chciał o niéj myślić?

— Ty jeszcze wybuchniesz przy pożegnaniu — rzekła miss Cains z niespokojnością.

— O, nie, — smutno odpowiedziała Sybilla — ale wszystko przeszło,—a ja sądziłam że mogę się łudzić nadzieją.

Usiadła. Przed kilku minutami tak szczęśliwą czuła się na tém miejscu! Przed kilku minutami, on tu siedział i patrzał na nią z dobrocią, po przyjacielsku. A teraz, za kilka godzin już go nie będzie w Saint Vincent; jego pokój będzie stał zimny i pusty; nie ujrzy jego wzroku, nie usłyszy głosu. I jakaż na to rada? Czémże jest dla niego? ani siostrą, ani żoną, ani narzeczoną—niczém—na zawsze niczém. Wstała i zawołała z boleścią:

— Blanko, ja tego nie wytrzymam!

W téj chwili drzwi się otworzyły i wszedł jéj ojciec. Twarz miał pogodną i wesołą jak zwykle.

— Moje panie,—rzekł — podróżnik was przeprasza, że nie mógł się pożegnać z wami. Czas naglił. Panno Blanko, zdaje mi się że koléj posunięcia na panię.

Siadł i chciał daléj grę prowadzić, ale Sybilla mu przeszkodziła. Zarzuciwszy ręce na jego szyję, namiętnie zapytała:

— Co to się stało, ojcze? Czy bracia Johnson zbankrutowali? Czy on pojedzie do Kanady? Czy powróci? Powiedz mi drogi ojcze!

Sybilla nigdy nie wypytywała ojca o interesa i Kennedy nigdy o nich córce nie mówił, ale teraz zagadnięty został niespodzianie.

— Tak, powiedział, bracia Johnson zachwiali się, ale dzięki przyjacielskiemu ostrzeżeniu, Dermot tam wczas przybędzie — i rozumié się powróci.

— Kiedy? kiedy?

— Może za rok. Dlaczego pytasz?

— Bo miałam mu cóś do powiedzenia—cicho odpowiedziała Sybilla, usuwając ręce z szyi ojca.

— To mu napisz—wesoło odpowiedział ojciec. Panno Cains, na pannę koléj.

Gra rozpoczęła się znowu, Sybilla siadła dumać samotna w swoim kąciku. Zapomni o niéj w obcych stronach. Rok zatrze lekkie ślady jakie mogły się wyryć w jego sercu. Nadzieja zgasła w sercu Sybilli.

ROZDZIAŁ IV.

— Na miłość Boga, nie zdradź się Sybillo, twój ojciec może się domyślić, rzekła miss Cains na drugi dzień rano.

Może Sybilli niewieleby chodziło o utajenie swego usposobienia przed ojcem; ale jak na teraz czuła się zupełnie bezpieczną, ojciec jéj bowiem opuścił Saint-Vincent na dni kika.

— Ojciec wyjechał dziś rano,—rzekła do swojéj przyjaciółki. Miss Cains spojrzała ze zdziwieniem i nieukontentowaniem.

— Zdaje się, tu już zwyczaj taki odjeżdżać bez pożegnania—rzekła cierpko.

— O Blanko, bądź pewna że ojciec nie zrobił tego przez lekceważenie.

Miss Cains siadła zamyślona, a Sybilla zapadła także w ponure dumanie. Przepłynął szczęśliwie Kanał, bo dał o tem wiadomość telegraficzną; wziął pociąg nadzwyczajny i przejechał do Londynu, aby dostać się na *Mountain Fairy.* Sybilla widziała kiedyś port Tamizy; przypomniała więc sobie teraz ów las masztów, łodzie ślizgające się po szklistéj powierzchni wody, syczące parostatki, dym i mgłę i blade słońce ponad tém wszystkiem. Siedząc tak z Blanką i machinalnie robiąc szydełkową robotę nie była w Saint-Vincent, ale w londyńskiéj przystani; widziała Dermota jak stał w łódce odbijającéj od brzegu; jak rozmawiał i śmiał się z przewoźnikiem, tylko słyszéć go nie mogła, bo był daleko. Dopłynął do okrętu, zręcznie wszedł po drabinie na pokład, przecisnął się przez tłum podróżnych i przez wązkie schodki zszedł do kajuty. Rozległ się głos dzwonka, podróżni znikli z pokładu, *Mountain Fairy* popłynął wymijając liczne okręty i łodzie; za chwilę będzie stanowić tylko punkt samotny pomiędzy niebem a morzem.

— Nie zniosę tego! nie zniosę tego!—zawołała Sybilla, rzucając robotę i z jękiem kładąc głowę na stole.

Miss Cains patrzyła na nią niespokojnie.

— Cicho moja droga, cicho,—rzekła—ktoś idzie. Jakaś pani rozmawiała z Denizą.

Sybilla osuszyła łzy wprędce i stanęła tyłem do światła. Otworzyły się drzwi salonu i weszła pani Mush, o któréj już od dwóch miesięcy zapomniano w Saint-Vincent.

— Droga pani!—rzekła Sybilla podchodząc do niéj — jakżeś długo czekać na siebie kazała!

— Owszem moje serce, przejazd był pomyślny i trwał bardzo krótko.

— Ale ja mówię o tém, żeś pani do tego czasu przyjazd zwlekała. Wyglądaliśmy pani z dnia na dzień. *(d. c. n.)*

OBRZĘD OFIARNY U PERSÓW.

Nic powszedniejszego u starożytnych ludów, jak zwyczaj religijny przynoszenia ofiar bogom, dla przebłagania ich w razie klęsk dotkliwych, które ciż bogowie według ówczesnych wyobrażeń, na świat zsyłali, lub też wyproszenia sobie u tychże bogów, łaski na przyszłość. Ofiary oprócz tego przybierały jeszcze i inne charaktery. Były ofiarami pojednania czyli *zgody*, ofiarami *dziękczynnemi*, *oczyszczającemi*, *pokutniczemi* etc.

Persowie zpośród tych ludów, zachowały do dziś jeszcze zwyczaj składania ofiar w święto tak zwane Darunsa, obchodzone na pamiątkę religji Ormuzda. Rycina na str. 29 umieszczona, przedstawia właśnie jeden z takich obrzędów. Wystawiano ołtarz, w koło którego klękała cała familia. Kładziono na nim drzewo, a na drzewo kozę lub jagnię — przyczém głośno odmawiano modlitwę Kapłan poświęcający ofiarę, spożywa pod ten czas zwykle małe pragomółki chleba.

WIENIEC.

Radykaliści zaczynają żyć i ruszać się nie na żart. Upojeni świeżémi nad idealistami zwycięztwy, nie widzą już nikogo więcéj na tym padole, prócz siebie samych. Praw bytu odmawiają wszystkim po kolei. Przyszła tedy koléj na Pana Boga. Za długo im jakoś króluje Pan Bóg w niebie.

Oddawna już pracują niektórzy uczeni nad tém, ażeby przekonać ludy na ziemi, że Pan Bóg zrzeknie się kiedyś swéj władzy nad światem na rzecz *radykalizmu* i że przy téj sposobności rozpocznie się dla świata nowa era *emancypacyi religijnéj*.

Jak na początek, chodzi im o nic więcéj, jak — no zgadnijże czytelniku o co? — o bezwarunkowe uwolnienie małżeństwa z pod *sankcyi kościoła!*

Dopóki ta sprawa była jeszcze tylko kwestyą zwyczajną, błąkającą się po samych mózgach i głowach, nie potrzeba się było lękać niczego, bo nie piérwsza to próba wywracania porządku społecznego przez *szary* koniec uczonych tego rodzaju; ale kiedy już nawet parlament Niemiecki jest zmuszonym wziąć w ręce sprawę małżeństw, to i słuszny można mieć powód do obaw.

Żądają tam *przymusowego ucywilnienia* małżeństwa, czyli mówiąc wyraźniéj, nie chcą nadal składania przysięgi małżeńskiéj przed władzą duchowną, ale ją przenieść każą przed władze *cywilne*, — nikomu *nie ma być wolno* brać

ślubu w kościele, choćby sobie nawet po złożeniu przysięgi cywilnéj życzył gorąco, utwierdzić także jeszcze swoje śluby aktem przysięgi w przybytku Pańskim.

Słowem, chodzi o małżeństwo *cywilne... obowiązkowe!*

Rozumiémy dozwolenie małżeństwa *cywilnego* dla tych, którzy zechcą z prawa tego korzystać,—nie wdając się nawet w kwestyą, czy rzecz ta potrzebom XIX wieku odpowiada,—ale... *przymuszania* kogoś do tego, aby z przywilejów nadawanych mu, koniecznie korzystał, choć pragnie się bez nich obejść,—tego nie możemy pojąć, ani tém bardziéj przyjmować tego za postęp.

Jakżeż moralnie wielkiego potrzeba społeczeństwa, ażeby się ono obyć mogło zupełnie bez *kościoła?!*...... Zawczesna to reforma, i tak mianowicie przeprowadzana! Należałoby ją uprzednio zastąpić budowaniem szkół elementarnych i wyższych, aby przynajmniéj przygotować ciemnych do tego, co ich dziś jeszcze, w rozbójników przemienić może.

Herostratyzm,—to jeszcze nie postęp.

Ludzkość ma *inne* drogi:—operacyj gwałtownych nie znosi i *chirurgów* takich nie potrzebuje.

— W żadnym kraju nie łożą tyle starania na wychowanie *córek*, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Nauka dziewcząt trwa tam nietylko dłużéj aniżeli w Europie, ale jest daleko lepsza i gruntowniejsza. Dziéwczęta chodzą do szkoły zwykle do lat *ośmnastu* albo nawet *dwudziestu*... Przez ten czas, uczą się oczywiście nie tylko samych początków ale całych *pełnych* kursów nauki: nic się tam nie przerywa,—przeskoków bezładnych nie ma—plan jasny, prosty, wypełniony i zastósowany troskliwie do potrzeb społeczeństwa, a nie do indywiduów lub do płci. Osobnych dzieł i podręczników dla dziéwcząt nie ma nigdzie: kompendya jednakie. Wielka część tych kompendyów pisana oczywiście przez kobiety, ale tych dziełek używają potém po wszystkich bez wyjątku zakładach. Ilość przedmiotów, wykładanych po szkołach żeńskich, jest tam daleko większa niż na starym lądzie. Nauce obcych języków mniéj czasu poświęcają—mianowicie w początkach, i w tém wielką mają słuszność. Za to więcéj godzin poświęcają umiejętnościom takim jak historya, nauki przyrodnicze, matematyka, a szczególniéj botanika. Każde dziéwczę ma herbaryum i zapełnia je nawet wtenczas jeszcze, kiedy już i szkoły ukończyło. Na geometryę i trygonometryę bardzo wielką kładą wagę. Muzyka i rysunki wysoko są cenione i uprawiane. Nauka rozpoczyna się latem o godzinie 7-méj, zimą o 8-méj rano, trwa z południa godzin 3, po południu 3. Interesującym byłby zaprawdę dla nie jednego z nas widok uczennic *dwudziestoletnich* śpieszących gromadkami do... *szkoły!* I dziwić się też nie można, że taka uczennica umié więcéj od nie jednego bursza niemieckiego, połykającego obok *jednéj trzeciéj* mądrości, *dwie trzecie* piwa i dymu fajkowego.

W ogóle żeńskie szkoły w Ameryce jednoczą w sobie wszystkie co najlepsze przymioty szkół wyborowych: znajdziesz w nich praktyczność Angielek, gust Francuzek, drobiazgowość i pracowitość Niemek.

To téż wpływ kobiét na rozwój i pożytek wychowania w Ameryce jest niesłychanie wielki. Cały kierunek pedagogiki jest w ich ręku, i z zadania tego wywięzują się znakomicie. I u nas mogłyby kobiety pójść tym torem—i toby się nazywało może dopiero *prawdziwą emancypacyą* kobiét — tylko nie należałoby zamykać książki z rokiem... 16-tym!

— (*Odpowiedź pani W. L.*) Zapytujesz mnie Pani, jak zapobiedz temu, ażeby syn nie wyrzucał pieniędzy po bawaryach i billardach. Sądzę, Pani, że stosowniéj byłoby może zapytać, jak mają Jéj dzieci obchodzić się z pieniędzmi, które otrzymały na małe dzienne wydatki i przyjemności.

Chłopcy, którzy trwonią pieniądze po bawaryach lub billardach, nie trwoniliby ich oczywiście, gdyby ich nie mieli, bo piwa i tytoniu nie dostaną nigdzie na słowo lub piękne oczy. Podług téj zasady, nie należałoby zatém dawać chłopcom pieniędzy do ręki. Środek to dosyć prosty i skuteczny. Na to odpowiesz mi Pani, że jakżeż można odbierać dziecku sposobność wydatkowania grosza na pewne cele i potrzeby codzienne? czemuż się dziecko nie ma przyzwyczaić za młodu cenić pieniądz? Pod tym względem masz Pani słuszność—ale słuszność pod warunkiem, że wydawanie pieniędzy jest pewną sztuką, do któréj potrzeba umiejętnéj wprawy i osobnéj niemal metody wychowawczéj. Mamy przecież przykładów nie mało, do jak znakomitych rezultatów prowadzi ludzi umiejętne wydawanie grosza, a dokąd wiedzie znowu pieniądz tych, co się z nim obchodzić nie umieją.

Bezmyślne dawanie pieniędzy dzieciom, prowadzi zawsze tylko do złego. Kto *ma* pieniądze, ten je ma na to, aby je *wydał* (taka jest loika dzieci!). Ale prawo społeczne mówi znowu: „Kto chce *posiadać* pieniądze, musi wpiérw na nie *zapracować*.” Otóż, jeżli Pani chcesz nauczyć synka swego, jak i na co ma wydawać pieniądze, każ mu zapracować na nie!

Ale, (zapytasz pani) jakżeż to przeprowadzić, i jak tu kazać pracować dziecku na grosz zbytkowy? Doprawdy, nie jest to nic tak zawikłanego. Życie rodzinne w domu rządnym i przykładnym—bo o takim mowa—nastręcza tak młodym jak starym, dużo zajęcia. Dla dziewczęcia, znajdzie się dozór nad piwnicą, ogrodem lub kuchnią; dla chłopca, dozór nad podwórzem, ładem w domu, rachunkiem gospodarcym, wreszcie w ogóle tam, gdzie już i ojca zastąpić można. Pole więc do *pracy* domowéj i do *zasługi* nie małe! Pieniądze, które *tą* drogą dojdą do rąk chłopca, nie pójdą tak łatwo na ofiarę pierwszą lepszą: grosz zapracowany osobiście ma bowiem dla dzieci wartość wysoką; nikt go tak nie ceni i pieści, jak one.

Ale słyszę już z góry nową przymówkę Pani: „Więc w końcu nie zechcą dzieci pracować z własnéj woli, z serca i z pobudek bezinteresowych, albo może i kochać mnie nie będą bez widoków na grosz miły...” Zarzut ten byłby tylko wtenczas słuszny, gdybyś Pani rzeczywiście odchowała dziecko swoje tak, iżby się u niego kończyła miłość dziecięca tam, gdzie się grosz zaczyna. Sądzę, że tak nie jest. Obok miłości może pieniądz leżyć spokojnie: jedno drugiemu uszczerbku czynić nie może i nie powinno.

Zamiast się więc lękać podobnych wypadków, zechciéj Pani posłuchać téj rady i zasady wychowawczéj: „*Czuwaj pieczołowicie nad skłonnościami dziecka, kieruj sama jego potrzebami i wydatkami, kontroluj każdy krok jego, pozywaj codziennie do rachunku, tłumacz na przykładach wartość pieniędzy, a czyń wszystko po macierzyńsku, dziecko zrozumie ważność twego głosu i napomnienia.*” Taka lekcya chroni od chciwości z jednéj, a marnotrawstwa z drugiéj strony.

— Wśród posuchy zupełnéj na prace treści pedagogicznéj, najważniejszéj jednakże i najbardziej żywotnéj dziś dla nas,—w piśmie, jak Opiekun, poświęconem *przeważnie* sprawom właśnie kształcenia i w ogólności wychowania młodzieży,—nie możemy przemilczéć o bardzo pocieszającym objawie gorliwości o publiczne dobro ze strony p. A. T. który Redakcyi Biblioteki Warszawskiej złożył summę 150 rs, z zaleceniem, aby taż kwota, jako nagroda za napisanie najlepszéj książki *dla dzieci*, obróconą została. Zaiste! nigdy więcéj na dobie myśl podobna niemogłaby być podniesioną i nigdy więcéj konkursów podobnego rodzaju, nie potrzebowaliśmy.

Oby ten przykład mógł zachęcić innych do zasługiwania się społeczeństwu naszemu na téj drodze.

W przyszłym numerze, podamy detaliczniejsze wiadomości o ustawie pomienionego konkursu, ośmielając się zarazem, swoje, niektóre, poczynić w tej kwestyi uwagi.

— Z powodu zbytniego tym razem rozszerzenia téj, bieżącej za objawami życia rubryki, nie możemy jeszcze, jakeśmy to w przeszłym numerze przyrzekli, pomówić obszerniej trochę o dwóch tyle cennych, a zupełnie nowych organach prassy, jak *Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza* i *Przyroda i Przemysł.*

Zdolność uznana p. Makowieckiego, dzisiejszego Dyrektora Stowarzyszenia „Merkury”, jak niemniej inne tegoż zalety, przyrzekają nam, w pierwszém z tych pism osobliwie, zbyt wiele dobrego, abyśmy tylko na pobieżnéj wzmiance poprzestać mieli.

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Redaktor, Bogumił Aspis